



Kazimierz Chłędowski
(1843 — 1920)

Szkice z Włoch (1873)

Capri

W piękny pogodny dzień wiosenny około dziewiętej zrana, schodziłem do portu St. Lucia w Neapolu i czekałem na odpłynięcie statku do Kapui.

Spokojne jak zwierciadło morze, przyodziła dzisiaj na siebie ciemno niebieski kolor i zdawało się współzawodniczyć swoją pięknnością z niebem, i wołać na jakiegoś szczęśliwego Parysa; rozsądź kto z nas piękniejszy, ja, czy ów uwielbiany firmament!

Jak mleczna droga i grupy gwiazd wieczorem na niebie tworzą smugi i oazę jaśniejących kolorów, tak obecnie w tych miejscach, gdzie słońce gorętszym płomieniem pogłaskało powierzchnię morza, powstawały plamy bledsze, wypłowiełe, lub też przeciwnie odbijały się chmurki pędzące po horyzoncie, w dal, na wschód — ku Abruzzom.

Jeżeli zaś gdzieniegdzie jaki kapryśny prąd wiatru zwrócił się ku zachodowi i krąbrnie się opierał, nie chcąc dążyć na śnieżne gór wierzchołki, wtedy czuła na wszystko powierzchnia morza, pofałdowała się na pewnej przestrzeni, lekko okryła się zmarszczkami i tworzyła w ten sposób ciemniejsze granatowe prawie plamy, na kolosalnej ażurowej równinie.

W kilku miejscach rybackie łodzie zdawały się w falach zasypiać, tak im dzisiaj było dobrze i miękko na tern posłaniu, a w dali dwa parowce pruły morza powierzchnie, pozostawiając po sobie długą chustę dymu i drażniły Wezuwiusz do spróbowania swych sił, i do pokazania, że słup dymu który on postawić potrafi, zakasuje sto angielskich i amerykańskich parowców.

To pyszne zwierciadło morza, miało też godne swej piękności ramy, ramy jakie tylko włoska wulkaniczna natura w ciągu wieków wyrobić zdołała, by ich piękność jednak ocenić, trzeba się już kołysać na niebieskiej fali.

Na portowej grobli roilo się mnóstwo najróżnorodniejszych postaci: bo za godzinę miał odpłynąć statek do Palermo, do Tunis, statek łączący dwa światy, więc też jakiś Negier w białym kapeluszu i obcisłym europejskim fibraniu chodził około swoich

pakunków i Arab w żółtym zawoju pompatycznie się oparł o wory z bawełną i Anglik odziany pleedem czerpał jeszcze informacje z Bedekera; a wśród tych cudzoziemców krzatali się włoscy marynarze z ogorzalą obliczem, w czerwonych wełnianych koszulach i włóczkowych, lub baranich czapkach.

Mały parowiec na którym wielkimi literami nazwisko Capri błyszczało, stał już w porcie i był nateraz celem moich dążeń, więc wsiadłem do łodzi i wkrótce znalazłem się na pokładzie okrętu, co mi miał pokazać: ażurową grootę.

Wyzywających Niemek, nieporównanym wdziękiem odznaczających się Angielek, sztywnych Prusaków i ciekawych Francuzów znalazło się bez liku, a kapitan okrętu chodził zadowolony, że tak ładnie zebrał dzisiaj grono, więc też i żaloszny świst parowej maszyny i warczenie kół dały się wnet słyszeć i okręt rozpoczął swoje manewry, aby się wydobyć na pełne morze, z pośród kamiennych portu chroniących grobli.

Całe towarzystwo zasiadło na ławkach w około pokładu, boć przed nami miał się rozwinąć widok neapolitańskich wybrzeży, który obok widoku na Bosfor, nie ma sobie równego w Europie.

Tyle razy wspomiana, tyle razy opisywana neapolitańska zatoka, ma przecież w sobie zawsze taki zapas świeżego uroku, jak cudnej urody kobieta, której oczy codziennie nowym nęcą blaskiem, bo też ta zatoka żyje, zmienia się, gdyż z jednej strony ma morze, a z drugiej dymiący Wezuwiusz.

Tyle piękności natury i tyle historycznych pamiątek ugrupowało się nad tą zatoką, że fantazja mogłaby tutaj bujać w nieskończoność, a duch ludzki rozkoszować się lata, nad tern co widzi w około siebie. Jeżeli chcesz wyobraźni wolne puścić wodze, to patrz na owego czarnego, okopconego olbrzyma, co ze szczytu swego ziele dymem i siarką, patrz na grupę posiwiiałych śniegiem okrytych gór, co za Wezuwiuszem w oddali zamykają ci perspektywę, lub spuść swój wzrok ku zatoce i wyobraź sobie tych Rzymian, co w Pompei dwókolistami jeździli wozami, lub średniowieczne rycerstwo, jak szturm przypuszczało do portu św. Łucyi, lub też znów niech ci się przez myśl przesuną owi możni arystokraci rzymskiego świata, co do Bajo jeździli, aby morskim w lecie oddychać powietrzem, lub w Puzzoli letnim się zabawiać teatrem. Tam spieszył Horacy swym dowcipem i werwą ożywić rzymskie towarzystwo, tam stroje, mody, powozy przesiedlały się na lato ze stolicy, a na drodze przez Pozilip najpyszniejsze roiły się konie. To była Ostenda, to był Wiesbaden starożytnych czasów.

Jesteś poetą masz tutaj morze i naturę, jesteś historykiem to każda cegła tych murów, co się nad zatoką rozsiały, ma dla ciebie znaczenie, jeżeli zaś szukasz wzorów do przeniesienia na płótno pięknej przyrody, to nigdzie nie znajdziesz tylu wdzięcznych tematów, tylu cudnych kombinacji światła i cienia, co tutaj, jeżeli wreszcie muzyka jest twego talentu udziałem, to posłuchaj szumu tych wód, a może jeszcze rozróżnisz w nim dźwięki lutni Aryona, co tędy błędził do wielkiej przybywając Grecyi, lub usłyszysz głos niemej, w pobliskiem urodzonej Portiici.

Nad tą zatoką Tasso się urodził, Wirgiliusz tutaj podobno wiecznym zasnął snem, a wszyscy ludzie wielkiego serca i wielkiej fantazyi tutaj jeździli czerpać natchnienia. Byron, Gothe, Lamartine, część swojej duszy na neapolitańskich zostawili wodach, ich sny kołysały się na tutejszych ażurowych falach.

Morze było spokojne, więc parowiec szybko się naprzód posuwał, a koła warczały jednostajnie i rozbijały wodę na miliony drobnych kropelek, układających się w tęczowe kolory, wśród słońca promieni....

Jakiś malarz — Niemiec, chwycił czemprowadę na papier kontury tych skał nadbrzeżnych, co koło Castellamare, koło Sorrentu w dziwaczne porozdzierane kształty, przecież tak wspaniałą, tak idealną tworzą harmonię, jakieś młode małżeństwo francuzkie, było pierwszy raz w kłopotcie, czy patrzeć sobie w -oczy, czy też spojrzeć na szerszy, na dalszy horyzont. Posiwiwały w podróży Anglik, dwa razy podkreślał sonet w swej podręcznej książce i ręczył mi, że tylko Eio Janeiro w Ameryce i Przylądek Dobrej Nadziei, dostąpiły u niego tego zaszczytu, widoki bowiem zwykłą miarą piękności mierzyć się dające, jedną tylko linijką bywają podkreślane. Jeden tylko kapitan okrętu widząc prawie codziennie te wybrzeża poszedł do kajuty na śniadanie i rozkochane spojrzenia rzucał na risotto z baraniną i na wino Veletri.

Dziwna jest w człowieku, ta rodząca się obojętność dla przedmiotu, który się często widzi, z którym się oswoiło. Gdyby nam w pokoju postawiono Wenus medycejską tobyśmy się po miesiącu tak samo na nią nie patrzyli, jak się nie patrzymy na tuzinkową fotografię, co wisi na ścianie. Piękna przyszłość dla żon, co swych mężów długo myślą trzymać u stóp swoich, li tylko blaskiem oczu i giętkością kibici, pociecha dla kobiet zimnych a zalotnych!

Nie moje panie! nie obawiajcie się, obok tej pozornej obojętności gnieździ się w człowieku siła przyzwyczajenia, siła potężna, która jednak wtedy [dopiero dochodzi do największych rozmiarów, kiedy zabrakie przedmiotu, do którego się przyzwyczaiło, kiedy się jego ubytek spostrzeże. A kto do prawdziwej przyłgnął piękności, komu w myśli wyrwały się kształty naj- poprawniejszego rysunku, ten nie tak łatwo się zadowolni innymi mniej estetycznymi formami.

Marynarze miewają najczęściej najpiękniejsze żony, i najlepszymi bywają mężami, każdy z nich bowiem od młodości tyle widzi przed sobą piękności natury, tak wzrok swój do piękna przyzwyczai, że i w wyborze kobiety na którą ma patrzeć całe życie, bardzo jest wybredny, jest zaś dobrym mężem, bo nie ma czasu się przyzwyczaić do kobiety, którą ubóstwia, bywając rzadko tylko pod domową strzechą. A kiedy jest z dala za domem, wtedy żona znów dlań jest kochanką, którą on sobie idealizuje, ubarwia najpiękniejszymi kolorami swej wyobraźni, albowiem jej nie widzi i prędko widzieć nie może.

Więc łaskawe panie, jeżeli chcecie mieć dobrych mężów to im pozostawcie jak najwięcej swobody: Każcie im podróżować, chodzić do klubów, aby zbytecznie do domowego nie przywykli życia. Nieprawdaż że dobra rada?

Statek zatrzymał się na chwilę w pobliżu Castellamere, łodzie/przyplłynęły, zabrały część podróżnych i pakunków, kilkanaście tylko na pokładzie pozostało osób, co wprost do Capri zdążyły.

I ową Kapreę mieliśmy wkrótce przed sobą, ogromną skałę, którą pewnie, gniewny Tytan, oderwał od od stałego lądu, i rzucił w Neapolitańską zatokę. Być może, że to jakiś rywal Jowisza, chciał go tą skałą dosięgnąć, gdy tenże uwodził Europę i pogrzebać niewinną wraz z uwodzicielem w morskich głębinach. Tymczasem Jowisz z Europą odpłynęli dalej, a skała na wieczną pamiątkę pozostała w morzu.

O ściany tej skały — wysokie a prostopadłe — biją od wieków morskie te bałwany i gdziegdzie tylko potrafiły sobie wyżłobić w nich jaskinie i grotty i tam odprawiać swe tany. Na tych skalistych ścianach: szarych lub ciemno-ceglastych, gdzie nigdzie tylko zaczepił się mały krzak mirtu lub akacyi, u spodu zaś gdzie już bałwany dosięgają; morskie żyjątko, zawiązki koralów, całą skałę w pąsowy przybrały kolor. Więc też cała wyspa tam gdzie się styka z morzem, zdaje się być okolona wieńcem z goździków lub polnego maku. [...]

Chociaż niedaleko od Neapolu, przecież Kaprea bardzo odmienne nosi cechy od właściwości natury stałego lądu. Na ciemno-czerwonych skałach rozgościła się tam już zupełnie południowa, sycylijska prawie wegetacja. Indyjska figa, ów sturamienny kaktus o dziwacznych kształtach, jak polip do skał się przyczepił, a Mirt, Citisus, Rozmaryn, Albatro i krzew mastyksowy nieporównaną wonią napełniają powietrze. Gdy w pogodny ranek słońce jasnym zaświeci promieniem, woń krzewów wzbije się w atmosferę, a świeży powiew morski przeciągnie po wyspie, to pierś nieporównanej używa rozkoszy, a fantazja tyle ma żywiołu, tak się tam czuje swobodną, że drży na samą myśl, że ten cudowny obraz trzeba będzie zamieniać na widok miast fabrycznym okopconych dymem.

Ach, w tych krainach można się zakochać, można tęsknić za nimi, i marzyć o nich jak o oczach niebieskich, co pierwsze w serce nasze głębiej wejrzały. Wspomnienie tego obrazu staje się rozkoszą, a cóż powiedzieć o rzeczywistości!

Gdziekolwiek na wyspie dało się kawałek urodzajnej ziemi wydrzeć odwiecznym skałom, tam wszędzie pracowita ręka ogród zasadziła, okalając go murem z kamieni, mozolnie z gruntu wydobytych, więc też się chodzi na urodzajniejszej części wyspy, pomiędzy samymi niskimi murami, po za którymi śmieje się do nas kwiat pomarańczy, drzewa migdałowego, Caprifolium albo też czarne oczy jakiej Mariuccii, albo Constancielli.

Uliczki pomiędzy tymi murami są gdziegdzie tak wąskie, że za ledwie na nich minąć się można z kimś co naprzeciw idzie. Szersza cokolwiek ulica prowadzi z Mariny do miasteczka Capri, gdzie znajdziesz kościół, sklep, kilkadziesiąt domów i dzieci bawiące się na środku malutkiego rynku, pewne, że je nikt nie przejedzie, bo na całej wyspie niema jednego wozu i jednego konia, kilka leniwych osłów tylko czeka na podróżnych koło portu, aby ich flegmatycznie wynieść na górę.

Z miasteczka wyszliśmy ścieżką na prawo i znaleźliśmy się po kilku minutach na zachodnim brzegu. Gdyby ktoś bujną obdarzony wyobraźnią, śnił długo, marzył długo, aby dziki, spokojny i uroczy przedstawić sobie obraz, to doprawdy nie zdołałby wymyślić pejzażu, któryby w tak wysokim stopniu odpowiadał wszystkim tym warunkom, jak miejsce zwane małą Mariną, przed którymśmy stanęli.

Byliśmy na pagórku, o kilkaset stóp niżej przed nami kolosalne czarne skały kąpały się w morzu. Pomiedzy skałami jak jaskółcze gniazdo przyczepione dwie chaty rybackie, które zda się, że pierwsza większa fala zabierze na szerokie morze. Fale biją o skały i wieńcami białej je otaczają piany, a mają o co próbować swej siły, bo po prawej sterczy kamienny olbrzym: Gap Marcellino, a po lewej w ostre podarty kawały Gap Tragara. Tuż koło Tragary na sto stóp z morza, nagie się wynurzają skały, jakby piramidy stawiane przez niewolnicze ludy Neptuna, zwią je Faraglimi. Na tych piramidach morski ptak trzepocząc skrzydłami, żałośnie zawodził okrzyki, a gdym spojrział w dal, i wzrok mój w nieskończonem utonął morzu,, to zadrzałem, przejęty grozą natury, i byłbym tam stał wieki, wieki dumał i marzył.

[K. Chłędowski, *Szkice z Wloch*, Drukarnia Leona Paszkowskiego, Kraków 1873, s. 60-64, 76, 77]